

Własny rytm życia

Z Krystyną Jandą rozmawia Małgorzata E. Malicka

- Osiągnęła pani więcej niż wiele innych polskich aktorek. Jest pani gwiazdą. Co to znaczy w praktyce?

- Dla mnie oznacza to bardzo dużo pracy, ciągły stres i gonitwę, ból żołądka; to, że nie można nic przewidzieć, nie zaplanować w życiu domowym, że nie ma czasu w terminie zapłacić rachunków za prąd, gaz i telefon. To znaczy ciągle się bać, że coś nie wyjdzie, że coś się nie uda. Nie mogę przecież spaść poniziej poprzeczki, którą sama sobie postawiłam i którą wyznacza mi moja pozycja. To znaczy również być serdecznie oklaskiwaną przez publiczność. I dlatego chyba wszystko to robię, mimo że tak mnie to męczy. Nie wiem, czy jestem gwiazdą, ale dopóki widzowie przychodzą do teatru, żeby zobaczyć moją grę, nic więcej mnie nie interesuje. Aby jednak chętnie mnie oglądali, muszę ciężko pracować. Słowo gwiazda odnosi się w zasadzie tylko do gwiazd hollywoodzkich, w Polsce coś takiego nie funkcjonuje i powinno inaczej się nazywać.

- Jest pani piękna, ma pani piękny dom i wspaniały zawód. Wszystko to, o czym marzą kobiety. Czy to daje szczęście i co nim właściwie jest?

- Szczęście... To wszystko, co pani wymieniła, może dawać jedynie zadowolenie i wymaga bardzo dużo pracy. U mnie wszystko wymaga dużo pracy. A uroda przemija... Ja po prostu lubię żyć, wstać rano, zrobić śniadanie... Może na tym właśnie polega szczęście?

- A co pani jeszcze lubi?

- Lubię grać w filmie, w teatrze, lubię telewizję. Z przyjemnością oglądam programy, o których ambitni krytycy piszą z obrzydzeniem. Mój mąż twierdzi, że jestem postacią z komiksu: szczyty niezależności i nowoczesności, a zarazem szczyty mieszczaństwa - oczywiście nie w tym najbardziej pejoratywnym znaczeniu.

- Czy dla aktorki macierzyństwo jest ważniejsze od zawodu? Gdy trzeba było wybierać, co zwyciężało: dziecko czy rola?

- Kiedy byłam bardzo młoda i nie rozumiałam w pełni, co to znaczy dziecko, jak wielkie może dawać szczęście, bywało, że zwyciężała praca. Teraz już nie mam wątpliwości, że ważniejsze są dzieci. A mam ich troje: już prawie dorosłą Marysię, dwuipółletniego Adasia, siedmioletniego Jędrusia. Wszyscy uznali w pewnym momencie, że chyba oszalałam, bo w najlepszym momencie mojego życia, po otrzymaniu Złotej Palmy, kiedy otworzyły się przede mną ogromne perspektywy, posypały się wspaniałe propozycje, ja zaczęłam rodzić dzieci. I to jest chyba najlepszy do-



Fot. Zofia Nasierowska

wód na to, że kariera nie jest dla mnie aż tak bardzo ważna.

- A co jest dla pani najważniejsze w życiu?

- To bardzo skomplikowane pytanie... Myślę, że jednak najważniejsza jest dla mnie rodzina i wszystkie sprawy z nią związane. Moje życie prywatne ma dla mnie największą wartość. Te najwzajemniejsze rzeczy są dla mnie najważniejsze, często to mówię, ale i tak nikt mi nie wierzy.

- Co pani sądzi o mężczyznach?

- Bardzo lubię mężczyzn, uważam, że życie bez nich nie miałoby sensu, ale patrzę na nich zimnym okiem i trzeźwo ich analizuję. Moje stosunki z mężczyznami były zawsze bardzo dobre.

- A jaki musi być pan mąż?

- Nie mogłabym być z mężczyzną, który by mi nie imponował. To musi być ktoś, kto jest ode mnie głębszy, mądrzejszy.

- Czy jest pani szczęśliwa w małżeństwie?

- Najważniejsze jest dla mnie, że nie czuję się w małżeństwie samotna, że czuję się szalenie związana z mężem, połową mojego związku. Jesteśmy ze sobą bardzo długo. Nawet gdy jest daleko, ani przez sekundę nie czuję, że jesteśmy osobno. Dzielę z nim wszystko również wtedy, gdy go nie ma, i to jest dla mnie bardzo ważne. Ale oczywiście jest tak jak w życiu - i klóć

się, i płacze, i nienawidzę czasami, ale to nie ma żadnego znaczenia.

- Czy znana aktorka może przyznać publicznie, że nie układa się jej życie osobiste?

- Tak. Moje koleżanki aktorki nie kłamią w wywiadach, nie udają, że są szczęśliwsze, niż są. Jeśli są same, to mówią o tym.

- Czy czuje się pani wolna?

- Czuję się wolna przez to, że mam sukces w zawodzie, że mogę wybierać, robić to, na co mam ochotę, ale z drugiej strony ten zawód trzyma w kleszczach, co mnie zniewala i ogranicza w pewien sposób. Jestem natomiast niewolnikiem - stworzonego i przeze mnie, i przez publiczność - własnego obrazu. W życiu prywatnym czuję się jednak wolna i niezależna.

- Czy aktorka w życiu towarzyskim może być autentyczna?

- Zawsze pozwalałam sobie na szczerą i spontaniczność. Czasem ją reżyseruję i wkładam w nią pewną formę, ale do każdej sytuacji podchodzę z jednej strony z przyrzuceniem, a jednocześnie reaguję prawdziwie. Uważam się za osobę szczerą i autentyczną. Ale może się myłe, albo już nie potrafię tego ocenić.

- Być kobietą... co to oznacza?

- Na to pytanie zupełnie nie umiem odpowiedzieć. Wielokrotnie za granicą zadawano

mi pytanie, co to znaczy być kobietą w Polsce. Wtedy mówiłam, że mężczyźni robią rewolucję, a kobiety stoją w kolejkach, że cały ciężar życia codziennego spada na kobiety i że to one ponoszą konsekwencje trudnej sytuacji w Polsce. Ale dzisiaj, gdybym się nad tym zastanowiła... myślę, że to okropne, że kobiety u nas tak ciężko pracują. Mają za dużo obowiązków, nie mają czasu, by się sobą zająć. Nawet jeśli bardzo chcą, nie mają szans. Pracodawcy nie wymagają, żeby dobrze wyglądały. Jest tyle dokoła problemów, że na takie „drobiazgi” już nikt nie zwraca uwagi. Wytworzył się w Polsce model kobiety, która wszystko poświęca - dla dzieci, dla męża, dla domu... nie kupi sobie perfum, bo dziecko nie ma rajstopy. W mojej dalekiej rodzinie była taka babcia, która mówiła do wnuczka: „daj mi zjeść czekoladę, bo ty dziecko nie ma rajstopy”. i sama jadła. Coś takiego powinno być, jakiś rodzaj przywilejów, które powinny sobie kobiety zatrzymać.

Lubię kobiety, lubię z nimi rozmawiać. Właśnie dla kobiet gram mój monodram „Shirley Valentine” Willy’ego Russella w Teatrze Powszechnym.

- Czy uważa pani, że - pracując tak wiele - prowadzi unormowane życie?

- Wydaje mi się, że zawsze umiałam stworzyć bezpieczny dom - z pomocą przede wszystkim mojej mamy. Potrzebę stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa wyniosłam u dziadków w Starachowicach, w tradycyjnym domu, w którym wszystko miało swoją porę i miejsce. W poniedziałek szło się na jagody albo na grzyby, we wtorek na targ, w środę, czwartek i piątek coś tam jeszcze. W sobotę - kąpiel w cynowej wannie pod wiśnią w sadzie, w niedzielę do kościoła, a potem na spacer wokół rynku. Życie miało swój własny rytm, nienaruszalny i święty.

- Jak będą wyglądały u pani święta Bożego Narodzenia? Jakiej potrawy nie może zabraknąć na pani wigilijnym stole?

- Mieszkam z rodzicami, święta - jak co roku, odkąd jestem na świecie - będzie urządziła moja mama. Jeśli chodzi o mojego męża, to nie może zabraknąć karpia w galarecie, ja natomiast nie wyobrażam sobie świąt bez pierogów z kapustą i grzybami, które wprost uwielbiam. Z tym karpim dla mojego męża wiąże się zabawna historia. Gdy po pięciu latach dowiedziałam się od swojej teściowej, że mój mąż bardzo lubi karpia w galarecie, postanowiłam zrobić to skomplikowane dla mnie danie. Trudność sprawia mi szumowanie

galarety. Klarowałam ją przez dwa dni i dwie noce, co zostało uwiecznione powodem. Opowiedziałam o tym teściowej i okazało się, że ona nigdy galarety nie klaruje i taką właśnie lubi mój mąż!

To będą bardzo szczęśliwe święta, ponieważ będziemy spędzać je wszyscy razem. Po raz pierwszy spędzi je z nami Jędrus i po raz pierwszy świadomie przeżyje je Adaś.

- Czy jest taka Wigilia, którą wspomina pani szczególnie, która w specjalny sposób utkwiła w pani pamięci?

- To była Wigilia spędzona z obcymi ludźmi w poczekalni lecznicy dla zwierząt. Byłam wtedy jeszcze studentką. W domu rodziców mieliśmy siadać do stołu, gdy okazało się, że moja - od dawna leczona na raka - suczka krwawi. Pojechałam więc z mamą do lecznicy przy Grochowskiej. To było naprawdę wspaniałe - siedzieliśmy tam do czwartej nad ranem; nikt do nikogo nie miał pretensji, dzielił się się oplatkiem. Cudowna Wigilia z obcymi ludźmi, którzy znaleźli tego wieczoru jakieś psy, koty, a nawet ptaki w strasznym stanie, przygarnęli je i przyjechali z nimi, by je leczyć. Uważam tę noc za jedno z najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Zobaczyłam, że jest tylu ludzi, którzy poświęcają tę najważniejszą noc w roku, żeby ratować zwierzęta. Myślę również o lekarzach, którzy nie narzekali, że muszą pracować w Wigilię.

- Gdyby ponownie się pani urodziła, chciałaby pani drugie życie przeżyć tak samo, czy jest coś, co by pani zmieniła?

- Jest kilka rzeczy, które bym zmieniła, pewne fakty, ale generalnie nie mam do siebie pretensji. Nie chodzi mi o to, czy chciałabym być kimś innym, czy co innego bym robiła w życiu - ja po prostu nie mam do siebie pretensji, nie ma takich rzeczy, których bym się bardzo wstydziła. Jestem zadowolona z siebie, z tego, jak żyję. Nie sądzę, że bym kogokolwiek skrzywdziła, może nieświadomie, za co przepraszam. Mam nadzieję natomiast, że sprawiłam ludziom wiele radości i cały czas o tym myślę. Pewnie jestem egoistką, pewnie za dużo zajmuję się sobą i wyrzucam to sobie. Jeśli chodzi o to, jak żyję, jakim jestem człowiekiem, to drugie życie chciałabym przeżyć tak samo.

- I również w Polsce, i w tych samych czasach?

- Często bywam pytana, w jakim kraju chciałabym żyć. Odpowiadam wówczas, że chciałabym żyć w takiej Polsce, abym nie musiała się wstydzić, że na przykład jadę dobrym samochodem. Prześladuje mnie poczucie winy, że mniej jest lepiej.